

Muzyczne zderzenia

Muzyka jest jedna i może być piękna niezależnie od tego, czy wykonuje ją orkiestra symfoniczna, kombo jazzowe czy zespół rockowy. Przede wszystkim liczy się kompozytorski geniusz i kunszt wykonania. Nie mniej ważne jest oddanie muzyce, którą się kocha, i radość z grania. To wszystko udowodnił niezwykle koncert Orkiestry Smyczkowej PRIMUZ z Akademii Muzycznej w Łodzi, złożony z utworów muzyki rockowej w aranżacjach Wojciecha Lemańskiego, łódzkiego kompozytora muzyki filmowej i teatralnej.

Celem Lemańskiego (pomysłodawcy koncertu) było przełamanie barier między różnymi grupami melomanów – przedstawienie bywalcom filharmonii świata nieco innych dźwięków, innego myślenia muzycznego, ale równie intensywnych emocji. Kompozytor musiał jednak przemówić do nich zrozumiałym językiem. Zrobił to za pośrednictwem orkiestry smyczkowej – jej środków wyrazu, charakterystycznego brzmienia. Za sprzymierzeńców miał młodych, utalentowanych muzyków oraz ich opiekuna i dyrygenta Łukasza Błaszczyka. Bez ich entuzjazmu i ciężkiej pracy nic by z tego nie wyszło. Na estradzie stanęli również nie mniej istotni wykonawcy, współtwórcy przedsięwzięcia: gitarzysta Jacek Królik, wokalistka Ola Łysiak-Łabecka, oboistka Agata Piotrowska-Bartoszek, basista Wojtek Stanisław i pianista Szymon Szyszka. 16 lutego w wypełnionej po brzegi sali koncertowej Akademii Muzycznej w Łodzi przy ul. Żubardzkiej zabrzmiały w nowych wersjach utwory muzycznych idoli Lemańskiego: Stinga, The Beatles, King Crimson, The Aristocrats, Lyle’a Maysa, Stevena Wilsona i Jacka Królika. Muzyce towarzyszyły wizualizacje przygotowane przez Macieja Walczaka.

Koncert otworzyła zagrana niemal w zupełnych ciemnościach kompozycja będąca wariacją na temat „Shape of My Heart” Stinga. Ten popularny temat, podobnie jak trzeci w programie „Come Together” The Beatles, Lemański potraktował jako punkt wyjścia dla twórczych poszukiwań. Utwór długo się rozwijał, jakby autor szukał odpowiedniego wariantu, przygotowywał właściwy klimat, krążył, a jednocześnie droczył się ze słuchaczem, nie dając mu poznać, ku czemu zmierza. Kiedy jednak wreszcie pojawił się charakterystyczny motyw, okazało się, że naturalnie wyniknął z tego, co do tej chwili słyszeliśmy. Bo była to synteza nie tylko melodii, ale przede wszystkim brzmienia i określonego rytmu, pulsu budujących niepowtarzalność kompozycji wyjściowej.

Młodzi muzycy orkiestry PRIMUZ nie mieli łatwego zadania. Zwłaszcza w utworach Jacka Królika czy Guthrie Govana (The Aristocrats), ale również Roberta Frippa (King Crimson), napisanych przez gitarzystów wirtuozów, musieli zmierzyć się z nietypowymi podziałami, skomplikowaną strukturą rytmiczną, bogactwem sposobów artykulacji i rozbudowaną polifonią, którą dodał Lemański. Żeby wszystko razem „zagrało”, potrzebna była wyjątkowa precyzja i skupienie. Tylko sporadycznie dało się wyczuć nieznaczne wahnięcia czy nierówności. Znakomicie wypadła piękna suita Lyle’a Maysa („Alaskan Souite: Invocation, Ascent”) ze wspaniałą partią na rożku angielskim w wykonaniu Agaty Piotrowskiej-Bartoszek. Udało się w pełni oddać charakter utworu, jego dynamikę, a nawet brzmienie, choć partię graną w oryginale na gitarze tu odtwarzały skrzypce.

Równie wielkim przeżyciem było dla mnie wykonanie utworu „Routine” Stevena Wilsona wsparte projekcją oryginalnego teledysku w reżyserii Jess Cope. Fantastycznie działały zarówno delikatne liryczne fragmenty, jak i patetyczne, rozbudowane harmonicznymi i mocno uderzone kulminacje. Klimat podkręcały niesamowite improwizacje gitarowe Królika. Dobrze poradziła sobie z trudnym wyzwaniem wokalistka Ola Łysiak-Łabecka, śpiewająca w niskich rejestrach nieco schrypniętym głosem. Odpowiednio zróżnicowała swoją partię. Utrzymała dobry dźwięk w najgłośniejszych fragmentach, co dodało siły wyrazu całości. Podobnie było we wcześniejszym „Come Together”,

natomiast trochę blado wokalnie w mojej ocenie wypadła „Roxanne” Stinga – zabrakło dramatyzmu oryginału.

Na finał orkiestra „odpaliła” dwa połączone utwory King Crimson – „Vroom” oraz „Red” – i pokazała potęgę brzmienia. Okazało się, że smyczki potrafią zagrać naprawdę ostro. Drapieżnością i chropowatością właściwie nie ustępowały przesterowanym gitarom elektrycznym oryginału. To pokazało, jak wielkie możliwości kreowania dźwięku ma taki klasyczny skład.

Publiczność była zachwycona, więc nie obyło się bez bisu. Na widowni zasiadali ludzie starsi, ale sporo było młodzieży. Jestem przekonany, że to wydarzenie ma niezwykle znaczenie szczególnie dla młodych ludzi – zarówno tych po jednej, jak i drugiej stronie rampy, bo otwiera ich na różnorodność muzyki, odkrywa nowe światy, a przez to wzbogaca. Tych samych wzruszeń estetycznych może dostarczyć „Routine” Stevena Wilsona co „Koncerty brandenburskie” Johanna Sebastiana Bacha. Powiedzmy, że takie ze wszech miar pozytywne nastawienie cechuje Wojciecha Lemańskiego – sprawcę całego zamieszania – od zawsze i jest obecne również w jego pracy pedagogicznej. Optymistyczny zatem wydaje się fakt, że podobna otwartość i chęć przekraczania barier ma teraz szansę silniej zakorzenić się w środowisku akademickim.

Bogdan Sobieszek